

Marek Sołtysik

W cieniu upiornej fabryczki

Palestra 48/3-4(543-544), 115-119

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

W CIENIU UPIORNEJ FABRYCZKI

Postawny pan z sumiastym wąsem, elegancki – acz bez śladu blichtru – ojciec Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Magdaleny Samozwaniec, stryjaszek Ewy Kosak-Szczuckiej, dziadek przyszłej żony Witkacego, Jadwigi Unrużanki, Wojciech – urodzony w Paryżu 31 grudnia 1856, zmarły w Krakowie 29 lipca 1942 – był postacią najbarwniejszą w artystycznej dynastii Kossaków. Czy ten bezprzykładnie pracowity artysta malarz, autor ponad dwu tysięcy oryginalnych kompozycji, odznaczony w Paryżu Krzyżem Legii Honorowej, światowiec, w przystępie świętego oburzenia dwoma ruchami noża niszczący napotkane w antykwarniach falsyfikaty swoich obrazów, mógł sam dokonać artystycznego oszustwa? Prześledźmy przebieg wydarzeń.

W 1911 roku Wojciech Kossak po raz kolejny rozślawiał swoje imię, tym razem jako autor obrazu *Na linii bojowej pod Warszawą*, z rannym oficerem i siostrą miłosierdzia na pierwszym planie, ze sceną walki i bryłą kościoła na drugim. To przejmujące płótno, reprodukowane w prasie, wystawiane w Wiedniu i w Antwerpii, znalazło się na Wystawie Powszechnej we Lwowie. Zachwycony pan Żychowicz, miłośnik sztuki, chciał je nabyć i już był bliski, ale na wszelki wypadek porównał obraz z reprodukcją z roku 1910. Parę szczegółów się nie zgadzało, toteż rozżalony a niedoszły nabywca zrobił szum, że oferuje mu się w najlepszym razie replikę. Wtedy Wojciech z oburzeniem oznajmił, że nie robił żadnej tajemnicy z faktu, że to nieco inna wersja i że ten obraz poza tym, nie dość że lepszy od reproduowanego, to jest o parę centymetrów wzdłuż i wszerz większy. Nie może więc być mowy o próbach wprowadzenia odbiorcy w błąd! Natychmiast jednak zmienił tytuł na *Ze szturm na Wolę*, ale przy okazji nałgał pisząc, że sporne płótno było malowane o rok wcześniej niż tamto, znane z reprodukcji...

Prawda jednak była taka, że pan Żychowicz „miał nosa” i stuprocentową rację – otóż to nawet nie była replika autorska! Nad obrazem, w gruncie rzeczy jako kopią kompozycji ojca, siedział jego syn Jerzy – a Wojciech dokonał ostatecznego szlif.

O pierwowzorze więc nie mogło być mowy. Ale i tak sporne płótno, którego natchmiastowego odesłania domagał się uniesiony ambicją Wojciech, zostało w mig sprzedane w Krakowie za 2000 koron i „Coco (Jerzy Kossak) dostał z tego paręset, bo on masę przy tym zrobił”.

Proceder, o którym Wojciech Kossak tak lekko pisał do żony, dał początek złu, które – mając Jerzego jako narzędzie – zaczęło pogrążyć ród Kossaków. Jerzy założył ową „fabryczkę obrazów Tato-Cocową”; on, bez wykształcenia i bez rozwiniętej świadomości twórczej, bez podróży niepewnymi drogami, bez przewycięzania oporów życiowych – co było udziałem i ojca, i dziadka, Juliusza, protoplasty artystycznego rodu – stał się człowiekiem bez właściwości. Kierując się głównie chęcią użycia, nastawił się na szybkie osiąganie zysku. Mało tego – ojca wciągnął w ten kierat.

Dochodzi do tego, że uznany artysta i bywalec salonów musi udawać, że w domu zostawił pugilares, a w istocie od kilku dni goły, nie ma czym zapłacić lekarzowi w jego gabinecie. I to jest Wojciech Kossak, ten sam, który w specjalnie dlań przysposobionych salach Muzeum Narodowego w Warszawie maluje swoją wersję *Bitwy pod Grunwaldem*? Tak, ten sam, niestety, któremu z *fabryczki obrazków*, dobudowanej do krakowskiej Kossakówki, niepoprawny Jerzy nie przestaje przysyłać do pracowni w warszawskim „Bristolu” obrazków pačkanych według oryginalnych obrazów Wojciecha, przenoszonych przez kalkę na płótno i podkolorowanych przez rozmaitych średnich malarzy, w celu dokończenia i podpisania pędzlem Wojciecha...

Z „Bristolu” – a potem i zza Oceanu, gdzie Wojciech po I wojnie, początkowo jako kurier dyplomatyczny, pięciokrotnie jeździł na podbój rynku, żeby masą portretów łątać domowe długi, zaspokajając swoje potrzeby zawołanego automobilisty, utrzymywać w Krakowie gniazdo-Kossakówkę, willę w Juracie, ekskluzywną pracownię w Zakopanem i wytworny apartament w stołecznym „Bristolu”! – jeszcze mokre obrazki szły wprost do kunsthändlerów. Poczta, zapakowane przez totumfackiego specjalnym sposobem, żeby nie zamazała się farba. Czyli na korkach, podkładanych w rogach kilkunastu obrazów, w tzw. handlowych, czyli ujednoczonych formatach, układanych jeden na drugim.

Kossakowie otrzymywali za te produkty należności nie dorównujące nawet ćwierci honorariów za dzieła oryginalne, handlarze sprzedawali je jako oryginały, żyli z tego i czekali na następne płótna, artyści zbyt często brali od nich zaliczki, a nie mogąc się wywiązać, musieli pożyczać pieniądze, procenty rosły, w końcu dochodziło do tego, że stary sławny malarz malował dla wierzycieli obrazeczki za darmo... Jerzy był nałogowcem i hazardzistą.

Problemy materialne i finansowe nigdy nie wychodziły poza mury Kossakówki. Ale Wojciech, który od dziecka widział, co się w domu dzieje, słyszał ciągłe utyskiwania ojca, protoplasty rodu, Juliusza, najwybitniejszego akwarelisty w dziejach sztuki polskiej (zwanego w domu abnegatem) na nieterminowe wypłaty za „drzewka” (drzeworyty w periodykach), czy westchnienia matki wskutek chronicznego

braku gotówki, postanowił nie dopuścić, żeby coś podobnego powtórzyło się w jego życiu. W związku z tym podejmował masę inicjatyw (w tym współtworzenie kolosalnych i w epoce przedkinowej obliczonych na szybki zysk panoram, do czego oprócz talentu i główki na karku trzeba było mieć końskie zdrowie), które jemu i bliskim dawały żyć i umożliwiały korzystanie z życia, w zamian za posiadanie po śmierci placu własnego imienia. (Aluzja do ojca, szlachetnego człowieka, który na starość już tylko jako marnie opłacany ilustrator-reporter pokornie „obsługiwał” uroczystości nie tylko ku czci wielkiego Kraszewskiego, lecz i etapy fety „panującego w sztuce” młodszego kolegi Matejki; pisał do przyjaciela, jak to wysłał za pośrednictwem Friedleina dla Lewentalowskich „Kłósów” rysowany reportaż *Obchód na cześć Matejki*. „Jest tam na samym środku *Wręczenie berła* przy stosownych ornamentach, *Pochód z pochodniami*, *Wprowadzenie do katedry*, *Uczta i teatr* – zdaje się, że dosyć”).

Znamienne to „zdaje się, że dosyć”. Wojciech wyciągał z tego nauki. Po pierwsze – nie sprzedawać swego talentu za byle jakie pieniądze; po drugie – za nic w świecie nie usługiwać żadnemu artyście... sto razy lepiej trzymać się na dystans, a nawet się wręcz izolować! Malowanie dla cesarzy w Berlinie i w Wiedniu, oraz dla milionerów w Londynie, a po odzyskaniu Rzeczypospolitej pięciokrotne pobyty Wojciecha za Oceanem były źródłem utrzymania – na bardzo wysokiej stopie – wielu rodzin z klanu Kossaków.

Malował w całych Stanach. Głównie portrety konne. Piękne kobiety, dzieci, podlotki, wybitni politycy, dzielni i zasłużeni dowódcy... Podczas trzeciego pobytu w Ameryce namalował piękny portrecik córeczki pani Nixon. Delikatnie i z podchodami rozpytywany o honorarium, choć zamierzał powiedzieć 500 \$, z myślą o domu, o Kukłach, czyli słynnych, a nieszczęsnych w pożyciu córkach, strzela 1 500 \$ – i tydki mu się trzęsą. Trzęsą mu się jeszcze bardziej, gdy nazajutrz w Chemical Banku chce zrealizować czek. Czek bowiem od pani Nixon opiewa nie na 1 500 \$, lecz na 15 000 \$! W banku winszują artyście takiego honorarium... Kossak inkasuje gotówkę – i przy tym samym okienku wystawia czek do pani Nixon na 13 500 \$, które wpłaca bezzwłocznie. Opisuje swój heroizm w liście do żony, dodając: „najwyższy czas, abym takimi emocjami stargane nerwy uspokoił na łonie rodziny”.

Wcześniej Wojciech z Jerzym jeździli sobie „rzemiennym dyszlem” czyli Mercedesem po dworach Wielkopolski i zażywając swobody malowali portrety zamożnych ziemian i ich czworonożnych ulubieńców. I to się jednak urwało. Więz między ojcem-szlagonem a skrytym synem może by się nawet i zadzierzgnęła, gdyby Jerzy tyle nie pił i nie przegrywał w karty... Jego autentyczny talent – śladowo dostrzegalny w kompozycji i odważnej kolorystyce obrazów – zabijała stopniowo amatorszczyzna, brak rzetelnego przygotowania rysownika, a przede wszystkim brak świadomości twórczej. Refleksji poetyckiej za grosz. U Jerzego sztuka to tylko sposób zarabiania na życie.

A tak – bo w domu się mówiło, że ojca nie ma i nie ma, ponieważ zarabia, ale nikt nie mówił – że Wojciech w malowaniu ma jeszcze inny interes, a przede

wszystkim, że dzięki pracy nad obrazem niejedną raz doznaje szczęścia i że twórczość to motor napędzający życie. Wojciech z kolei, by móc mieć dla siebie więcej takich chwil rozkosznie napędowych – nie ukrywał, że z egoistycznych i merkantylnych pobudek nie stawia tamy gospodarce syna – rabunkowej wobec talentu. Początkowo było mu w to graj, że Jerzy kopiuje jego najlepsze dzieła. Brał je bez ceregieli, oglądał pod światło, mrużył oczy, zacierał ręce i nadawał płótnom ostateczny szlif. Podpisywał je własnym imieniem i nazwiskiem – i puszczał w świat jako swoje, synowi odpalając jakąś część honorarium. Tym samym zachęcał Jerzego do procederu.

Jerzy uczył się malarstwa na obrazach ojca. I na jego błędach. Przyszedł dzień, gdy się przekonał, że jego własna malarska droga była jednym poważnym błędem. A mógłby być Jerzy *par excellence* malarzem. Gdyby się ruszył z domu... Wojciech wiedział, że długie lata własnych twardych studiów w Paryżu, Krakowie i Monachium nie były przeznaczone na to, żeby się dowiedzieć, jak najsprawniej namalować na przykład but, paznokieć czy wargę, albo blik na nosie, bo do tego można dojść i we własnej pracowni – lecz głównie na to, żeby pojąć sens kreacji i wyćwiczyć siłę własnej wyobraźni. Jerzy nie miał tego, nie przeżył tej drogi.

I dlatego Wojciech pozostawał wielki, a w pewnej wstydlivej tajemnicy – która stała się tajemnicą poliszynela od roku 1923, od kiedy panowie w Kossakówce założyli półoficjalną „fabryczkę Tato-Cocową” – wraz z synem malował „Napcie” (obrazy o treści napoleońskiej), „Piłsudy” (portrety Marszałka) w ilościach wprost reprodukcyjnych. W pracowni zatrudniali zazwyczaj do kilkunastu szukających chleba artystów malarzy i zdolniejszych studentów. Chodliwe tematy kossakowskie były do wyboru, zalegały w specjalnej skrzyni w postaci odpowiednich arkuszy przezroczystej kalki z dokładnie obrysowanym motywem. Zatrudniony malarz kalkował rysunek na świeże płótno i malował motyw z uwzględnieniem kolorystyki właściwej dla klanu Kossaków. Potem albo Jerzy kończył ten obraz czy obrazek, albo, doprowadzając go do pewnej świetlistości, przygotowywał do dokończenia przez ojca, do którego należał szlif ostateczny, a przynajmniej kontrolne rzucenie okiem, naniesienie podpisu.

Zbyt często się zdarzało, że jeszcze mokre – pakowane na korkach – obrazki nie trafiały do Wojciecha, jego sygnaturę ktoś (!) bezczelnie podrabiał... i tak to np. „dzieło” z niebem żółtym jak cytryna (do czego Wojciech nigdy by nie dopuścił), że źle namalowaną twarzą czy nogą końską narysowaną bez pojęcia o anatomii – szło do ludzi z podpisem Wojciecha, fałszowanym przez Jerzego. Okropność! Wojciech przestał ogłaszać, że będzie sędownie ścigał naśladowców – bo psującym mu robotę malarską oraz opinię stał się jego syn Jerzy! To niebywałe, ile do dziś krąży, jeśli nie wisi w szacownych domach, falsyfikatów Wojciecha Kossaka!

Wojciech – człowiek jasny wewnątrz, który jeszcze w Warszawie śmiał się, że każdej ze swych słynnych córek dwa razy wyprawiał wesele i dwa razy je rozwodził – nie mógł nawet przypuszczać, że Jerzy, narzędzie do naśladownictwa, wyrwie się kiedyś z jego ręki i sprowadzi katastrofę. Ktoś powiedział, że Wojciech po to przez

całe życie ciężko pracował, żeby na koniec, w osiemdziesiątym szóstym roku życia, stać się bankrutem... Ale kiedy za okupacji na Kossakówkę zjechał oficer prosto z „Burgu”, z prośbą, żeby stary artysta jechał na Wawel i tam malował portret generalnego gubernatora Hansa Franka, Wojciech zdecydowanie odmówił... – To może Frank przyjedzie tu, na Kossakówkę, mistrzowi tutaj będzie pozował? – Ja już nie maluję – odparł artysta – przykro mi. – A te? – nazista wskazał na portrety jeszcze mokre od farb, między innymi pysznie niedokończony wizerunek Zofii Jachimeckiej. – Odnawiam moje stare obrazki – odparł bez mrugnienia sędziwy malarz w nienagannej niemczyźnie. Oficer zasalutował i odszedł. Zagadka dla dociekliwych – kto i w którym miejscu uszanował postawę polskiego artysty?

Nota o Autorze

MAREK SOŁTYSIK, urodził się w 1950 r., prozaik, poeta, scenarzysta, krytyk sztuki, artysta grafik i malarz, absolwent krakowskiej ASP, wydał 18 książek, Polskie Radio emitowało jego kilkadziesiąt słuchowisk – głównie o polskich artystach przełomu XIX i XX w. W 1978–90 prowadził dział prozy w „Życiu Literackim”, do 2001 r. współpracował z „Przekrojem”. Od 2001 r. publicystykę i felietony zamieszcza w „Rzeczpospolitej”.